

Duch z Georgian Bay

9 października 2022

Kiedy po paru miesiącach wywołał kliszę, z przerażeniem spostrzegł, że na jednym ze zdjęć widnieje wyraźna postać... dziewczynki, której ani on, ani inni ludzie obserwujący pożar, nie widzieli wśród płomieni. Publikujemy kolejny reportaż zaprzyjaźnionej z nami pani Agnieszki Krupak, dziennikarki z Toronto. Zachęcamy wszystkich do zapoznania się z historią nawiedzonego pensjonatu w Georgian Bay.

Paul Beach, szef miejscowej jednostki straży pożarnej stwierdził, że nie było takiej możliwości, aby strażacy nie dostrzegli dziecka, stojącego w drzwiach płonącego budynku. Zdjęcie najpierw badane było przez fotografów z lokalnych gazet, ale potem wysłane do Stowarzyszenia Naukowego Badania Zjawisk Paranormalnych. Stamtąd trafiło do laboratorium dr Vernona Harrisona, byłego prezesa Królewskiego Stowarzyszenia Fotografów. Specjalistyczna analiza negatywu wykazała, że zdjęcie jest oryginalne, co oznacza, że nie dokonano na nim żadnych zmian, przeróbek czy mistyfikacji. Naukowcy zadali sobie kolejne pytanie: kim lub czym jest postać z płonącego ratusza?

Było piątkowe, upalne popołudnie, kiedy po ponad dwugodzinnym przedzieraniu się przez korki w Toronto dojechaliśmy do Muskoka. Niewielki motel wyglądał tak samo, jak na zdjęciu z folderu – otoczony drzewami i wybujałą czerwcową zielenią prezentował się bardzo przyjaźnie. Wszystkie pokoje na parterze były już zajęte, więc właścicielka pensjonatu, Barbara, zakwaterowała nas na górze. Rozgościliśmy się, a pod wieczór zeszliśmy na dół, by dołączyć do zadowolonego grona grillujących. Dostaliśmy niewielki barbecue, węgiel drzewny, sztucce, usadowiliśmy się nad samym brzegiem jeziora i rozpoczęliśmy przygodę z przywiezionymi przez nas żeberkami. Po jakimś czasie dosiadła się do nas jedna z kobiet, gości motelu i zapytała, czy znamy Basię od dawna i czy wiemy coś o

jej poprzednim pensjonacie. I tak, od słowa do słowa okazało się, że życie Barbary nie zawsze było tak spokojne, jak obecnie. Pani Maria opowiedziała nam historię, która podobno znana jest w naszym polonijnym środowisku od kilku lat. My jednak usłyszeliśmy ją po raz pierwszy.

– Cztery lata temu pojechałam z mężem i synem na long weekend, trzy wolne dni z okazji Canada Day. O tym poprzednim pensjonacie Basi powiedzieli nam jacyś znajomi. Mówili, że tam dzieją się dziwne rzeczy. To znaczy, że straszy. Mój mąż się śmiał, bo nie wierzy w żadne zjawy i siły nadprzyrodzone. Jechaliśmy długo, bo ten motel jest w drodze na Georgian Bay. Byliśmy zmęczeni, więc poszliśmy spać wcześniej i usnęliśmy natychmiast. Ja i mąż spaliśmy w saloniku, a nasz syn w sypialni, bo to był taki pokój rodzinny. W środku nocy obudziły mnie kroki, otworzyłam oczy i zobaczyłam, że ktoś, pewnie mój mąż, wchodzi do łazienki. Czekałam, aż z niej wyjdzie, minęło może pięć minut, ale drzwi od łazienki się nie otwierały, nie słyszałam też żadnych odgłosów lecącej wody, zupełna cisza. Pomyślałam, że może zasłabł. Krzyknęłam więc do męża: wszystko w porządku? A on odpowiedział mi prosto do ucha: tak, ale co się stało? Cemu krzyczysz? Wtedy myślałam, że stanie mi serce. Powiedziałam: przecież przed chwilą wchodziłeś do łazienki! A on, że śpi obok mnie cały czas i nigdzie nie wychodził. Pobiełam do sypialni, ale nasz syn spał tam jak suseł. Muszę powiedzieć, że jestem raczej sceptyczką i trudno mnie przestraszyć, ale wtedy już nie usnęłam – leżałam z otwartymi oczami do rana i trzęsłam się jak galareta – mówi Maria.

Z samego rana kobieta opowiedziała o tej historii właścicielce pensjonatu. Wtedy dowiedziała się, że nie jest jedyną osobą, która w jej obiekcie była świadkiem niewytłumaczalnych zjawisk. Podobne historie przydarzały się już wcześniej, zarówno gościom, jak i samej szefowej. Była jednak pewna, że skoro przez ponad rok nic podobnego się nie wydarzyło, „coś”, co pojawiał się przed laty w motelu, opuściło go

bezpowrotnie. O tym, że tak się nie stało, przekonała się Maria w tamten Dzień Kanady.

Barbara na początku nie chciała rozmawiać o motelu i zgodziła się dopiero po długich prośbach z naszej strony. Motel kupiła po okazyjnej cenie.

– Wkrótce dowiedziałam się, dlaczego – mówi z sarkazmem.

To była wspólna inwestycja – ona i Grażyna, jej przyjaciółka, zapłaciły po połowie. Mąż Basi ma firmę w Toronto i doszedł do wniosku, że codzienne dojazdy są stratą czasu. Przyjeżdżał więc do domu tylko na weekendy. Obie kobiety dopełniły wszystkich formalności prawnych i zaczęły urządzać biuro i mieszkanie służbowe na piętrze. Jednak Grażyna musiała jeszcze parę dni zostać w domu, w Mississaudze. Basia przeprowadziła się więc sama, do dwupiętrowego hoteliku, w samym środku lasu.

– Nie miałyśmy jeszcze łóżek, na podłodze leżał mój stary materac, który przywiozłam z domu. Zasypiałam już, kiedy usłyszałam kroki. Wyraźne, głośne, ktoś chodził po pokoju, w którym właśnie byłam. Pierwsza myśl – włamywacz! Ale jak się dostał, skoro zamknęłam wszystkie okna i drzwi? Bo był kwiecień i zimno jeszcze jak diabli – mówi Basia i słysząc w jej głosie zdenerwowanie, mimo, że tę historię opowiadała już chyba ze sto razy.

Kolejną myślą Basi było to, że ktoś miał dorobiony klucz, a poprzedni właściciel obiektu zapomniał jej o tym powiedzieć. Może jakiś dozorca? Zapaliła nocną lampkę, ale w pokoju nie było nikogo. Przeraziła się jeszcze bardziej. W apteczce znalazła jakieś ziołowe środki na uspokojenie, zażyła dwa, położyła się i próbowała zasnąć. Nagle poczuła na sobie ogromny ciężar. Ktoś kładł się na niej tak, jakby nie wiedział, że to ona leży na materacu. Została przygnieciona przez człowieka, którego nie była w stanie zobaczyć. O mało nie zemdlała z przerażenia. Zaczęła krzyczeć resztką sił, bo była wciąż przyduszona przez niewidzialny ciężar. Wtedy, jakby

w reakcji na jej krzyk, ta osoba podniosła się i odeszła. Kroki milkły. Jednak Basia nie usnęła już do rana, czuwała całą noc z nożem w ręku.

– Rano przyjechała Grażyna, przywiozła jakieś meble. Zapytała, czemu wyglądam jakbym była chora. Opowiedziałam jej o tym, co się wydarzyło w nocy, a ona o mało nie pękła ze śmiechu. Spytała, czy nie wypiałam za dużo jakiś trunków i znów się śmiała. Byłam na nią zła, więc już nie wracałam do tego tematu, nie chciałam konfliktu – opowiada Barbara.

Tego dnia to Basia opuściła wieś i wróciła do Toronto. Noc spędziła w domu, a świtem zapakowała to, po co przyjechała i wróciła do hotelu.

– Jak tylko weszłam na górę, wiedziałam, co się stało. Dochodziła dziesiąta, ale Grażyna nadal leżała w tym naszym prowizorycznym łóżku. Lampka wciąż się paliła, a na szafce nocnej leżał wielki nóż. Była biała jak ściana. Jak się okazało, też miała nocnego gościa – opowiada Barbara.

Grażyna zrezygnowała z prowadzenia motelu kilka dni później. To, co się wtedy wydarzyło, i co spowodowało tę decyzję, o mało nie doprowadziło kobiety do hysterii. Była na górze, w części służbowej, a Basia zapowiedziała, że idzie z technikami sprawdzać klimatyzację w pokojach i po chwili zniknęła. Wróciła po pół godziny, żeby sprawdzić coś na komputerze, w biurze obok.

– Przecież przez ostatnie 30 minut siedziałas w Internecie – powiedziała wtedy Grażyna, a Basia się zdziwiła: no skąd, byłam z facetami od klimatyzacji w części dla gości! Wtedy Grażyna zapytała: to kto walił w klawiaturę przez ten czas?

Przeszukały biuro, w którym stał komputer. Był włączony, mimo że żadna z nich nie korzystała z niego tego dnia. Wygaszacz monitora też był wyłączony, co oznacza, że ktoś ruszał myszką w ciągu ostatniego kwadrans. Technicy wezwani do sprawdzenia stanu klimatyzacji przysięgali, że właścicielka była z nimi

cały czas, kiedy robili obchód pokoi gościnnych. Z tej całej historii wynikało, że w tamtym czasie w służbowym mieszkaniu na górze była tylko Grażyna. Ale czy na pewno tylko ona?

Kiedy Grażyna się wyprowadziła, Basia została w motelu całkiem sama. Rozpoczęła prywatne śledztwo, odwiedzała sąsiadów, próbując ustalić, czy wiedzą cokolwiek na temat przeszłości budynku. To, czego się dowiedziała, było dla niej szokiem.

– W tym budynku wybuchł przed laty pożar. Żywcem spalił się tam człowiek, prawdopodobnie był to ogrodnik lub dozorca. Krótki czas potem zaczęły się tam dziać dziwne rzeczy – poprzedni właściciel słyszał kroki, a jego goście byli świadkami „nocnych odwiedzin”. Obawiam się, że przejęłam po nim tego osobliwego lokatora – mówi Barbara.

Latem Basia nie zgodziła się na reportaż o wydarzeniach, które miały miejsce w jej dawnym pensjonacie. Mówiła, że ma obawy, czy nie spotka się z ironią lub kpiną. Ludzie bardzo różnie podchodzą do spraw, których nie są w stanie zrozumieć. Uszanowałam więc jej decyzję i nie wracałyśmy do tego tematu. Jednak jej opowieści nie dawały mi spokoju. Całymi godzinami surfowałam po Internecie w poszukiwaniu relacji lub świadków podobnych zdarzeń. Jest ich rzeczywiście sporo, niektóre są z pewnością żartem, ale część z nich powoduje, że po plecach przechodzą ciarki. Tak było ze słynnym pożarem w Wielkiej Brytanii. 19 listopada 1995 roku spłonął doszczętnie budynek ratusza w angielskim miasteczku Wem. Jeden z mieszkańców miasta, Tony O’Rahilly, zrobił podczas zdarzenia zdjęcie za pomocą obiektywu 200 mm, a potem o kliszy zapomniał. Kiedy jednak, po paru miesiącach wywołał film, z przerażeniem spostrzegł, że na jednym ze zdjęć widnieje wyraźna postać dziewczynki, której ani on, ani inni mieszkańcy Web obserwujący pożar, nie widzieli wśród płomieni. Paul Beach, szef miejscowej jednostki straży pożarnej stwierdził, że nie było takiej możliwości, aby strażacy nie dostrzegli dziecka stojącego w drzwiach płonącego budynku.

Zdjęcie najpierw badane było przez fotografów z lokalnych gazet, ale potem wysłane do Stowarzyszenia Naukowego Badania Zjawisk Paranormalnych (Association for the Scientific Study of Anomalous Phenomena). Stamtąd tajemnicze zdjęcie trafiło do laboratorium dr Vernona Harrisona, byłego prezesa Królewskiego Stowarzyszenia Fotografów (Royal Photographic Society). Specjalistyczna analiza negatywu wykazała, że zdjęcie jest oryginalne, co oznacza, że nie dokonano na nim żadnych zmian, przeróbek czy mistyfikacji. Ostateczne zdanie specjalisty brzmiało następująco: „The negative is a straightforward piece of black-&-white work and shows no sign of having been tampered with”. Naukowcy zadali sobie kolejne pytanie: kim lub czym jest postać z płonącego ratusza?

Zaczęto wnikliwie badać historię starego budynku, a efekty tych badań okazały się porażające. W 1677 roku w miejscu starego ratusza stał dom, który również spłonął. Pożar spowodowała mieszkająca w nim dziewczynka, Jane Chum. Jane bawiła się zapaloną świeczką. Źródła historyczne mówią, że spłonęła wraz z domem. Za sprawą niecodziennej fotografii o historii tego pożaru było głośno w mediach, zareagowali na nią również sceptycy, a wśród nich sam dr Harrison. Oprócz autentyczności zdjęcia stwierdził, że nie jest w stanie wytłumaczyć zjawy inaczej, jak tylko iluzją światła, ciepła i dymu, które ułożyły się w ten makabryczny obrazek akurat w momencie, kiedy Tony O’Rahilly robił zdjęcie. Jednak obraz wyraźnie pokazuje, że oprócz dymu i tańca płomieni jest na nim uwidoczniła ludzka postać – z wyraźnie zarysowaną sylwetką, głową, twarzą i włosami. Ale najbardziej zastanawiające jest to, że postać na zdjęciu wygląda dokładnie tak, jak opisywana przez historyków mała Jane Chum.

Dwa tygodnie przed świętami zadzwoniła Basia z zaproszeniem do Muskoka, na symboliczną wigilię. Pojechaliśmy tam w zeszły weekend, jezioro było już zamrożone, a hałdy śniegu tarasowały drogi dojazdowe. Czysta, biała, dzika natura. Na obiedzie w motelu poznaliśmy rodzinę i znajomych Basi. Chcąc

nie chcąc, rozmowa zeszła na sprawy jej poprzedniego ośrodka. I wtedy poznałam dalszą historię zjawisk, których do dziś nie da wytłumaczyć.

Jednym z gości w motelu była Małgorzata, lekarka, którą, jak twierdzi, wykonywany zawód zmusza do racjonalizmu i naukowego podejścia do zjawisk fizycznych. I tylko raz Małgorzata zważyła w swój racjonalizm – w nocy, w pensjonacie nad Georgian Bay.

– Brałam prysznic, drzwi od łazienki były zamknięte. Nagle poczułam zimny, lodowaty wręcz powiew wiatru, zrobiło mi się potwornie zimno. Pomyślałam, że może ktoś otworzył drzwi do łazienki, a wcześniej wejściowe, i okna też, dlatego zrobił się taki przeciąg. Krzyknęłam więc, żeby zamknąć drzwi do łazienki, bo marznę. Cisza, nikt nie zareagował. Wychyliłam więc głowę z kabiny prysznicowej i zobaczyłam, że drzwi były zamknięte. W łazience oprócz mnie nie było nikogo. Tylko zasłona wciąż falowała jak żagiel na wietrze.

Okazało się, że w sprawę „ducha z Georgian Bay” została zamieszana również miejscowa policja. Funkcjonariusze wezwani zostali przez kanadyjską rodzinę, która u Basi spędzała zimowe wakacje. Jak twierdzą Kanadyjczycy, byli świadkami albo samobójstwa, albo morderstwa. Nie jest to do końca pewne, bo śledczy do tej pory nie znaleźli ciała.

– Był późny wieczór, śnieg po pas, ci ludzie wrócili do motelu. Było to małżeństwo z dwójką całkiem już dużych dzieci – opowiada Basia. Z okna mieszkania widziałam, jak podjechali pod budynek i zaczęli ściągać z bagażnika biegówki. I wtedy ta kobieta zaczęła do mnie krzyczeć, że ktoś spadł albo został zepchnięty z dachu, i żebym szybko dzwoniła na policję. Na początku nie wiedziałam, o co jej chodzi, ale wszyscy wyglądali na przestraszonych, machali do mnie rękoma i krzyczeli, że człowiek spadł z dachu. Dopiero po paru sekundach dotarło do mnie, że oni mówią o moim dachu. Po chwili zobaczyłam, że ta kobieta już gdzieś dzwoni. Zanim się

ubrałam i zeszłam na dół już była policja. Zarówno małżeństwo, jak i ich dzieci mówili jedno przez drugie, że widzieli, jak człowiek zleciał na dół, i nie wstał, więc pewnie leży w śniegu. Zapaliłam wszystkie światła, a oni mieli latarki. I co? I nic! Nie tylko nie znaleźli ciała, ale nawet żadnych śladów, że ktoś tam był i odszedł. Żadnych śladów stóp, biały gładki śnieg. Spisali zeznania i odjechali, ale tamta rodzina była tak przestraszona, że już nie chcieli zostać dłużej, mimo że mieli pobyt zapłacony do końca ferii. Poprosili, żebym ich spakowała i zniosła walizki na dół, bo jak stwierdzili, boją się wejść do środka. A policja sprawę zamknęła, bo nie było ani dowodów wypadku, ani ofiary.

Wielu ludzi ma predyspozycje, z których nie zdaje sobie sprawy, tak jak każdy ma mięśnie, ale jedna osoba niewypracowane, a inna widoczne, ukształtowane treningami. Są ludzie, którzy potrafią mentalnie przenieść się w tzw. inny wymiar. To się nazywa astral – miejsce, gdzie istota ludzka, czyli energia, a dla wierzących dusza – przebywa po śmierci przez jakiś określony czas. Wtedy można nawiązać komunikację.

Przytoczę historię stąd, z Kanady. Zmarł starszy, bogaty człowiek i zostawił tu rodzinę. Jednak po jego śmierci nie znaleziono żadnych pieniędzy. Rodzina podejrzewała, że leżą na kontach bankowych, jednak nie mieli pojęcia gdzie. Jeden z członków tej rodziny usłyszał o kobiecie, która mieszka w Polsce i jest znana z tego, że nawiązuje kontakty z osobami w astralu. Cała rodzina się z niego śmiała, ale on wysłał jej zdjęcie zmarłego, bo taki jest warunek – a ona nawiązała z nim kontakt! Zmarły powiedział jej, że nie ujawni miejsca zdeponowania pieniędzy, bo jego krewni na to nie zasługują. Po negocjacjach prowadzonych między nim a medium, zgodził się oddać część oszczędności rodzinie. Okazało się, że są zdeponowane na kontach, które zabezpieczone są hasłami. Ta kobieta podała im adres banku, numery kont i hasła. Otrzymali ze spadku od nieżyjącego krewnego kilka milionów dolarów!

Basia przyznała się, że po tamtych wydarzeniach dużo czytała

na temat energii i zjawisk paranormalnych. Długo namawiana wyraziła zgodę na opisanie jej „przygód” z istotą z tamtej strony życia. Wcześniej zaprosiła do swojego motelu bioenergoterapeutkę, prowadzącą w Toronto prywatny gabinet bioenergoterapeutyczny. Marta przyznała się w rozmowie ze mną, że w domu w Georgian Bay był „ktoś jeszcze”.

– Widzę ich. To znaczy tylko przez moment, tak jak migawka na filmie. Przemykają gdzieś bokiem. Nigdy wtedy, gdy jest gwar, muzyka, wiele osób. Ale ostatnio siedzieliśmy w wąskim gronie, przy kawie, i ktoś przyszedł. Czuję, kiedy jest, czuję energię, widzę kontem oka taki cień, jak się porusza. Na początku się bałam. W zasadzie byłam przerażona każdą taką „wizytą”. Ale był ktoś, kto nauczył mnie z tym żyć i teraz „oni” mi nie przeszkadzają. Ten, który mieszkał u Basi nie miał żadnych złych zamiarów. Nie czułam negatywnej energii. Widziałam go, to był mężczyzna. On się po prostu kręcił po pokoju tak, jakby tam mieszkał. Tak jak człowiek, który jest u siebie. Być może on po prostu był we własnym domu, a to my byliśmy intruzami?

Na prośbę bohaterów reportażu niektóre imiona zostały zmienione.

Autor: Agnieszka Krupak

Źródło: NPN.ehost.pl